

Wystąpienie prof. Jana Wiktora Tkaczyńskiego, przewodniczącego Komitetu ds. Opieki nad Grobami Profesorów UJ

Rozważania na marginesie wiersza Zbigniewa Herberta „Przeczcucia eschatologiczne Pana Cogito”

Więc, jak to będzie, Magnificencjo, dostojni Goście, szanowne Koleżanki i Koledzy, Panie i Panowie, gdy się kiedyś spotkamy po tamtej stronie. Stronie, którą teolodzy nazywają życiem pozagrobowym, a którą my, mniej uczeni w Piśmie, próbujemy ukryć pod budzącym niewątpliwie mniej trwogi określeniem, jakim jest nazwanie jej drugim życiem. Więc jak to zatem będzie, gdy się tam, w miejscu, które przeczuwamy, ale którego istnienia nie potrafimy ani dowieść, ani mu zaprzeczyć, kiedyś wszyscy razem spotkamy. I ci, którzy się serdecznie lubili, i ci którzy się szczerze nienawidzili. Ci, którzy strawili czas na kreowanie urojonych sukcesów własnych. I ci, którzy go poświęcili na popychanie do przodu spraw publicznych. Wreszcie ci, którzy oddawali się z pasją gnębieniu innych, i ci, którzy całymi laty znosili obmowę, szykany i złośliwości. Więc jak to wobec tego będzie, gdy się tam – znowu – spotkamy jako czysta *pneuma* naprzeciwko czystej *pneumy*, uwolnieni tym razem od tytułów, stanowisk i obrzędowych szat. Co sobie wówczas powiemy? W jaki sposób spróbujemy osłonić swoje ziemskie postępowanie, skoro przed spojrzeniem przez pozadoczesne okulary nic się przecież nie ukryje?

Ale dajmy sobie chwilę wytchnienia od tych retorycznych a metafizycznych pytań i zamiast udzielić na nie tutaj bezzwłocznej odpowiedzi, skupmy naszą uwagę na faktach. Podobno tylko one cenione są jak mówi Poeta na obcych rynkach. Na każdą penicylinę nauka daje nam w prezencie jedną gilotynę. Na każdego bowiem Pasteura, Marię Curie czy Marconiego podrzuca nam jednego Mengelego. Albo co najmniej Oppenheimera, w ostateczności Tellera. Przegląd starszej historii w zakresie głoszenia a praktykowania cnót wszelakich też nie budzi większej nadziei. Znajdujemy w niej bowiem przykłady takich postaci jak Seneka, który zalecał bliźnim ubóstwo, lecz sam żył w zbytku, a namawiając do uczciwości, gromadził majątek kupując za bezcen dobra obywateli proskrybowanych przez cesarza Nerona. Takich jak Rousseau, który zachęca do wychowywania własnych dzieci, ale swoich pięciorgo oddaje na wychowanie do sierocińca. Takich wreszcie jak Tolstoj, który opiewa radości małżeństwa, lecz zdradza żonę z bezbronnymi wieśniaczkami. Bądź takich jak Marks, który rozwodzi się nad nikczemnością kapitalizmu, lecz sam żeni się z bogatą baronówną, przyjaźni z fabrykantem i wpada w wściekłość, gdy jego córka chce poślubić niezamożnego urzędnika.

Zaiste obraz to przygnębiający. By nie przeczerńać go już nadto, dodajmy dla równowagi, że gdyby zaufać najbardziej mierzalnej z nauk, czyli statystyce, to należałoby przyjąć, że piosenka Eda Sheerana „Perfect” z 1 383 131 845 wyświetleń w przeciwieństwie do zaledwie 140 774 960 wyświetleń „Requiem” Mozarta jest dziełem ponadczasowym. Tymczasem wszyscy wiemy to doskonale, o wspomnianej piosence nikt za kilka lat nie będzie pamiętał, Mozart pozostanie natomiast z nami do dnia Sądu Ostatecznego. A może nawet, jeśli wolno sobie pozwolić na tak śmiałe przypuszczenie teologiczne, dłużej. Bez wątpienia bowiem występowanie piękna najlepiej dowodzi istnienia nieskończonej *Vis Maior*, ponieważ natura dla swego trwania nie potrzebuje go przecież wcale.

W wierszu Zbigniewa Herberta „Przeczcucia eschatologiczne Pana Cogito” znajdziemy słowa: *Tyle cudów / w życiu Pana Cogito / kaprysów fortuny / olśnień i upadków*, które każdy z nas może odnieść do siebie. Znamy przecież doskonale ów stan unoszenia się na skrzydłach

twórczych oczekiwań, pokusy dotknięcia absolutu, czy próby wyważenia zamkniętych dotąd dla innych badaczy naukowych drzwi. Ale znamy też równie dobrze ów stan niemocy i dręczenia się wątpliwościami bądź pytaniami, których ciężar zmógł pokolenia uczonych. Jeśli jednak pamiętamy, że żaden geniusz nie dotyka skrzydłami chmur bez ustanku, że czasami lata też niżej, to zrozumiemy też lepiej, dlaczego uniwersytet nie może być miejscem, w którym dałoby się bez utraty jego charakteru republiki uczonych podmienić ponadczasowy uniwersalizm na fabryczną unifikację. Na takiej przyciasnej dla naszych myśli i działań grzędce zwiędną bowiem największe nawet talenty nauki. Tylko jako zbiorowość wolnych duchem ludzi możemy przetrwać najcięższe nawet terminy i dać – gdy zajdzie tego potrzeba – świadectwo naszej cywilnej odwagi. Tego uczą nas mężne życiorysy zmarłych poprzedników.

Przywołajmy tu dla przykładu choćby ten jeden jak profesora Juliusza Makarewicza, autora przedwojennego kodeksu karnego uchodzącego do dzisiaj za jedną z najwybitniejszych kodyfikacji w historii prawa. Po uwolnieniu z obozu zażądał on zwrotu polskiej maszyny do pisania, którą zabrano mu po rewizji. Dopiero po wielokrotnych interwencjach zwrócono mu ją, ale z rosyjskimi czcionkami. Wobec tego oddał ją do przerobienia na czcionki polskie, a następnie udał się do komendy NKWD z rachunkiem i żądaniem zwrotu wydatkowanych na ten cel pieniędzy. Chociaż w przekazie historycznym nie znajdujemy informacji, czy profesor Makarewicz je otrzymał, to musimy z ukłonem należnym ludziom odważnym przyznać, że dzięki takim właśnie profesorom nasz Uniwersytet słusznie może uchodzić za jedyną w swoim rodzaju fortecę wartości kruchych, wartości często niedocenianych i pomijanych, takich – jednym słowem – , które nie umieją się bronić same. Tymczasem ich obrona jest naszym przekazywanym z pokolenia na pokolenie nieprzemijającym zadaniem. Czyż nie powtarzamy bowiem chętnie, że każdy uniwersytet jest międzypokoleniową wspólnotą? Unią tych, którzy odeszli, z tymi, którzy przyjdą po nas?

Więc co sobie zatem powiemy, gdy się znów kiedyś po tamtej stronie spotkamy? Jak wytłumaczymy sobie wówczas chłód serca za życia, a prędkie zapomnienie po śmierci? Czym usprawiedliwimy, że nasze przybierane tak chętnie w girlandy cnót wszelkich stalowe pancerze okazały się zbrojami z gliny? Przecież to zupełnie nieprawdopodobne – wolno tutaj założyć –, abyśmy chcieli wypłacać się naszym poprzednikom drobną monetą kurtuazyjnych sformułowań okolicznościowych. Tak, jakby kierowało nami pragnienie wmówienia sobie, że otrzymaliśmy jako wyprawkę na przyszłą drogę coś więcej, aniżeli tylko wiórek, strużynę wieczności i zapomnieli zarazem, iż wszelka sława tego świata jest ulotna jak dym. Zupełnie tak, jakbyśmy zbiorowo ulegli hipnozie, że tłum ludzi może stanowić armię, a sterta cegieł – dom. Nie, nie wolno nam zerwać przymierza pokoleń i porzucić naszych zmarłych Koleżanek i Kolegów. Są wśród nich bowiem ludzie drogowaskazy i ludzie znicze. To prawda, że ci pierwsi nie zawsze pożądanym cieszyli się wpływem, ci drudzy natomiast nie zawsze bywali nieomylni. Ale stając twarzą w twarz z nimi wszystkimi będziemy mogli z czystym sumieniem, tą katapultą do wieczności, powiedzieć, że wykazaliśmy się niezbędną w takim przypadku wiarą w ponadczasowe wartości. Wiarą, że wszystko to, co nas buduje – co prawda przemienie, ale przecież nie odejdzie. Jeśli bowiem tej wiary nie zdołamy podtrzymać, zachować i przekazać dalej naszym następcom, to któregoś dnia wspólnie głoszone wartości ulecą w niebo razem z naszymi mistrzami i zostaniemy tutaj sami. Tylko co sobie wtedy powiemy, gdy się kiedyś – znowu – po tamtej stronie spotkamy?